ROK IV STYCZEŃ 1932 NR. 1

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH
WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

O dawnych zwyczajach noworocznych

Narody starożytne rozpoczynały nowy rok na wiosnę, w marcu, chrześcijanie zas w oktawę Bożego Narodzenia tj. w dniu 1-go stycznia, w którym odbyła się tajemnica obrzezania Zbawiciela i nadania mu imienia Jezus. Kościół święci dzień ten uroczyście, a wszystkie ludy obchodzą go wesoło. Już dawni Rzymianie rozpoczynali rok nowy igrzyskami, biesiadami, przebieraniem się mężczyzn za kobety i nawzajem. To też dzień Nowego Roku był dniem wzajemnych życzeń i zabaw, jako rozpoczynający mięsopust czyli karnawał. Zwyczaj dawania podarków na Nowy Rok istniał u wszystkich narodów. Rzymianie modlili się do bogini Strenii, aby hojnością natchnęła osoby, od których spodziewali się otrzymać pewne dary. Cezar August z podarunków, na Nowy Rok otrzymanych, kazał odlać posągi złote i srebrne. Chrześcijaństwo wzbroniło wymuszać od kogokolwiek podarunki noworoczne, lud jednak przechował ten zwyczaj. W Polsce podarek zwał się „Kolędą". Królowie polscy „na Kolędę" dawali wszystkim dworzanom swoim nieraz kosztowne podarunki, gdy ci winszowali im „nowego lata". Herburt, uczony polski za Zygmunta Augusta, tak pisze o Nowym Roku: „Biegają dziatki po nowem lecie, i przyjaciele dają sobie nowe lato, a zwłaszcza panowie sługom, bogaci ubogim, winszując sobie na nowy rok wszego dobra". Widzimy z tego, że w Polsce było inaczej niż w Rzymie za cezarów, z których naprz. Kaligula kazał, aby mu poddani składali podarki noworoczne podwójnej wartości. Dawni Polacy witali się na Nowy Rok słowami: „Bóg cię stykaj", co znaczyło polecenie opiece Bożej. Kapłan w kościele po kazaniu winszował parafjanom i Kolatorowi Nowego Roku, a po nabożeństwie przyjmował sam powinszowania na plebanji. Wiedziano wogóle, czego komu życzyć, więc umysł i grzeczność, cześć lub wdzięczność, serce i afekt siliły się na dowcip. Dzieci i żaczkowie szkolni prawili rodzicom i nauczycielom powinszowania prozą lub rymem, po polsku lub po łacinie. Gdy dawniej szkoły mieściły się przy klasztorach, bywało wiele ubogich dzieci, które uczono tam bezpłatnie i dawano im mieszkanie, a poczciwi ludzie żywili. Wyrobił się więc zwyczaj, że ci uczniowie, czyli „Żaki" przychodzili codziennie z własnemi garnuszkami po obiad lub wieczerzę, a na Nowy Rok, zebrawszy się w gromadki, obchodzili wszystkie domy, win-

szowali „Nowego lata“ i starali się zaśpiewać coś takiego, coby domowników rozśmieszyło i zabawiło. Oto część żartobliwej kolędy:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika, i do niej piernika.
Hej kolęda, kolęda!

— — — — — — — — — — — —

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera.
Hej kolęda, kolęda!

Uczniów miejskich naśladowała dziatwa wiejska, chodząc po chatach i do dworu „za nowem latkiem“, winszując i zbierając w podarkach smaczne kąski na biesiadę wieczorną. Dzieci tak zaś śpiewały rolnikom:

Żeby wam się rodziło:
Żytko — jak korytko,
pszenica — jak rękawica,
bób — jak żłób,
owies — jak skopiec,
len — jak pień.

Nietylko dziatwa drobna chodziła po wsiach winszować Nowego Roku, ale i dorośli. W niektórych okolicach chodzili „draby“ po „nowem lecie“, poprzebierani cudacznie za cyganki. Dawniej, gdy była w Polsce obfitość dzikich zwierząt, kolędnicy owi oprowadzali młodego wilka, niedźwiadka lub tura. W braku żywych tych zwierząt przebierano się w ich skóry, a stąd powstało stare przysłowie: „biega by z wilczą skórą po kolędzie“. W braku skór przebierali się w kożuch, odwrócony włosem do góry, lub w worek z naśladowaną z drzewa kozią głową. Najwięcej atoli różnych zwyczajów i wesołości łączyło się w Polsce z obchodem wilji Nowego Roku, w ostatni wieczór roku starego. Nikt nie spędzał tej chwili samotnie. Zbierały się na ten wieczór rodziny bliżej sąsiadujące na wsi, kółka przyjaciół w miastach, gromadziła się młodzież wiejska, aby wesoło i przy jasnem ognisku, wśród zabaw rozmaitych zakończyć rok stary. Dziewczęta czyniły wróżby zamążpójścia, jak w wigilję św. Andrzeja. Jest bowiem między dniami temi ten związek, że św. Andrzej kończy rok kościelny. Było mniemanie, że dziewica, która w wigilję Nowego Roku doczeka północy, i wpatrując się przy świetle dwóch świec jarzących w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się za siebie, ujrzy w zwerciadle poza sobą postać przyszłego małżonka. Dalej dziewczęta płatały figle chłopcom i nawzajem. Wciągano więc brony na kominy domów, drzwi podpierano klocem drzewa. Prze-

bierano się za cyganów i cyganki, oprowadzających niedźwiedzia, który zalecał się do dziewcząt.

Uprzywilejowaną potrawą na ostatnią wieczerzę roku była lemieszka z mąki pszennej, żytniej lub hreczanej. Gotowano jej sporo. Młodzież przy spożywaniu uderzała się nawzajem łyżkami po policzkach, a potem sąsiadom okna mazała, a to, jak mówią, na znak, żeby w ciągu nowego roku mieli wszyscy usta i domy napełnione obfitym chlebem. Wieczór ten nazywał się szczodrym, a winszowanie po domach nazywano chodzeniem po szczodrakach, szczodrówkach, za nowem latkiem. Na Rusi natomiast szczodry wieczór nazywają do dziś dnia „bohaty weczer". Młodzież kolęduje tak samo poprzebierana za cyganów, dziadów i zwierzęta, których głos naśladuje. Obszedłszy wieś całą i nazbierawszy podarków, wracają w umówione miejsce, poczem jedna z dziewcząt, obrana gospodynią, przy pomocy innych sporządza ucztę, a ochocza zabawa przeciąga się do późnej nocy. Był też do niedawna powszechny w Polsce zwyczaj żartobliwego kradzenia sobie rzeczy w ten wieczór i wykupywania takowych nazajutrz. Za wykupne młodzież wyprawiała biesiadę w dniu noworocznym. Mówią, że aby rok nowy był pomyślny, potrzeba naukrywać cudnych rzeczy, kończąc rok stary. Zwyczaj ten, powszechny niegdyś u możnej szlachty, był powodem licznych krotochwil. Nowy Rok powinien zastać bochen chleba na stole gospodarza, jako znak obfitości tego daru Bożego, który przez rok cały nie powinien schodzić z jego stołu, ale wraz z solą, przysłonięty bielonym ręcznikiem, służyć na powitanie i posiłek dla gościa i ubogiego. *M. Mituła.*

Historja w metodzie projektów

Dzisiejsza szkoła jest w ciągłem poszukiwaniu nowych dróg tak z zakresu dydaktyki, jak i wychowania, chcąc oddać społeczeństwu ludzi, którzy mogliby sprostać obecnemu tempu życia i dać z siebie wartości twórcze. Szkoła wczorajsza — szkoła tradycyjna wychowywała ogółem przeciętne jednostki, które idąc po linji najmniejszego oporu nie wnosiły w tętno życia żadnego rozmachu, ni nowości, tylko jednostki uzdolnione brały na siebie cały wysiłek tworzenia.

Ameryka poszła w tym kierunku najdalej, wychowując przez swe metody — czynnego i przedsiębiorczego członka społeczeństwa, umiejącego powziąść szybko decyzję i dać sobie radę we wszelkich okolicznościach życia. W Ameryce więc, ojczyźnie Edisona, który z małego gazeciarza stał się sławnym uczonym, powstaje metoda projektów, jako reakcja przeciwko rozwijaniu biernych tylko pamięciowych zdolności u dzieci. Jeżeli już mówi się o Edisonie, to należałoby właśnie w tem miejscu podkreślić jego powiedzenie, że „genjusz" składa się z 1% natchnienia i z 99% pracy", że „największe wynalazki są właściwie zwykłemi odkryciami", — i że „praca uczonego po-

lega na zauważaniu rzeczy, koło których zwykły śmiertelnik przechodzi obojętnie". I o to właśnie chodzi w metodzie projektów — uczyć patrzeć, myśleć i działać, w przeciwieństwie do metod szkoły tradycyjnej, która starała się dać tylko wiedzę, nie troszcząc się, czy wartości jej zostaną wyzyskane w życiu. W języku polskim wyszło tłumaczenie książki Dr. Johna Stevensona. „Metoda projektów w nauczaniu", gdzie znajdujemy teoretyczne uzasadnienie tej metody i jej syntezę. W amerykańskiej literaturze pedagogicznej jest natomiats kilka ciekawych sprawozdań z pracy metodą projektów, najpoważniej ujęta jest książka Colingsa tej samej treści.

Metoda projektów polega więc na całkowitem wypełnianiu pewnego zagadnienia życiowego. Nabywanie wiedzy według jej haseł nie jest celem, tylko środkiem pomagającym do wypełniania określonego zadania. Celem metody projektów jest rozwinięcie skłonności do samouctwa i nauczenie posługiwania się nabytemi wiadomościami. Metoda ta opiera się na zagadnieniu J. Devey'a „Wychowane przez czyn" i Kilpatricka. Według Kilpatricka termin „projekt" oznacza kompletną czynność, którą działający sam zaprojektował, stawia sobie za cel i w pewnym zakresie przeprowadza".

Collings też, jako wizytator zaprowadził w swoim okręgu szkołę doświadczalną, która zupełnie programu nie miała i postawiła sobie za cel: 1). Pomóc dzieciom do osiągnięcia ich własnych celów i dążeń. 2). Przez stopniowe rozszerzanie doświadczenia dzieci doprowadzić je do wykonywania trudnych, samorzutnych zamierzeń. Według Collingsa nauka w swej czystej formie nie powinna istnieć w szkole, gdyż w związku z pracą, która jest na warsztacie, zdarza się wiele okazyj do nauki. Projekty podają uczniowie sami, mogą być one bardzo różnorodne, i mogą być wypełniane w przeciągu jednego dnia, tygodnia, lub nawet miesiąca. Poruszają bowiem odrazu bardzo wiele zagadnień. Dla rozwiązania tych zagadnień uczniowie muszą czytać książki, artykuły, wertować encyklopedję, podręczniki, a nawet dzieła poważniejsze, rozpytywać rodziców, sąsiadów lub specjalistów, pisać listy do rozmaitych towarzystw naukowych.

Mniej rewolucyjnie przedstawia się ta sprawa w „Metodzie projektów" Stevensona Projekty narzuca tam program, ale program bardzo logicznie obmyślony. Poprzedza go zastanowienie, — dlaczego ludzie poza szkołą studjują dany przedmiot? Następnie przychodzi przegląd całego przedmiotu, którego ma się uczyć tą metodą, dalej uporządkowanie materjału logicznie i systematycznie i dopiero stwarza się program. Zdarza się, że znajdą się jakieś problemy, których projekt w siebie wcielić nie mógł — wtedy rozwiązuje się go metodą zagadnień, lub nawet metodą systematycznego przedstawienia przedmiotu. Stevenson nie jest zresztą zwolennikiem wyłącznego stosowania metody projektów; chce on, aby po pewnym przeciągu czasu, ułożyć materjał w porządku logicznym i utrwalić go.

Pracę swą ilustruje Sevenson przykładami nauki tą metodą, wziętemi sporadycznie z rozmaitych szkół.

Jeżeli chodzi o nas i o metody stosowane w naszych szkołach to niewątpliwie, że metoda projektów nie była dla nas rewelacją, — stosowano ją nieraz, nie rozciągając może na cały kurs nauki, ale na poszczególne cykle — nie nazywano jednak ją żadnym mianem, nie wiedząc, że Amerykanie głowią się długie czasy nad definicją tej metody. Dzisiaj, kiedy przeszliśmy do porządku dziennego nad wszystkiemi metodami, które przyszły do nas z Zachodu, a które przyswajaliśmy dość chętnie, eksperymentując celem postawienia szkoły naszej, na jak najwyższym poziomie; musimy przyznać, że „metoda projektów" — posiada najwięcej zalet z pośród istniejących i że może i u nas być stosowana z pożytkiem. Nauczyciel uczący metodą projektów powinien jednak sam orjentować się szalenie szybko w sprawach życiowych i uzupełniać ustawicznie swoją wiedzę, bo projekty uczniów obejmują bardzo szerokie horyzonty. Koniecznem jest także tutaj poznanie warunków miejscowych pod względem przyrodniczym, historycznym i gospodarczym, gdyż zagadnienia zwłaszcza młodszych dzieci siłą rzeczy obracają się w tych ramach. Stosowanie metody projektów w okręgu Collingsa dało bardzo szybko wyniki pozytywne, stan gospodarczy ferm podniósł się znacznie — dlaczego? bo rodzice wraz z dziećmi wertowali pisma i książki, rozszerzali swe wiadomości i zastosowywali je praktycznie. Wzmogło się także czytelnictwo z 3,8% na 96%.

I oto tutaj ukazaał się cała wartość nowego kierunku nauczania. Postawiono więc wniosek, aby szkoły na wsi prowadzone były metodą projektów, trzeba było je tylko zaopatrzyć w bibljoteki i przyrządy do pracy.

Wracam jednak do właściwego tematu niniejszego artykułu: jak się przedstawia nauka historji w metodzie projektów. Opieram się tutaj na wzorach lekcyj podanych w pracy Stevensona p. t. „Metoda projektów w nauczaniu".

Dlaczego Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom? Projekt ten zaczął się od omówienia wypadków lat ostatnich, z czego wysunęła się kwestja wojny, jako walki autokracji z demokracją. Sam projekt wysunął właściwie jeden z chłopców, który wprawdzie uznawał ucisk i brutalność niemieckiej autokracji, ale nie mógł zgodzić się na to, aby Stany Zjedn. miały słuszne powody do wystąpienia przeciw Niemcom. Kwestja ta została podjęta przez nauczyciela i uczeń ów sam musiał poznać przyczyny, które skłoniły Stany Zjedn. do tego kroku — i za tydzień miał wystąpić z referatem przed klasą i rozjaśnić tę sprawę wszystkim.

Chłopiec zbierał materjał od osób biorących udział w wojnie światowej. Wuj jego podał mu moralne powody wystąpienia Stanów: napad na Belgję, gwałty popełnione w pn. Francji, barbarzyńskie, wprost nieludzkie prowa-

dzenie wojny powietrznej i łodziami podwodnemi. Z biuletynów Komitetu Informowania Społeczeństwa dowiedział się, że Niemcy prowadzili wojnę w celach imperjalistycznych, i że troska o bezpieczeństwo Stanów wymagała porażki Niemiec, a upadek Rosji zapewniał im tymczasem zwycięstwo. Najsilniejsze jednak wrażenie na chłopcu zrobił wykaz okrętów, zatopionych przez łodzie podwodne, a zwłaszcza to, że przytem utracili życie także obywatele amerykańscy, oraz przekonał się, że w każdym z tych wypadków interwenjowały Stany bezskutecznie.

Projekt ten jest o tyle dla nas ciekawym, że oświetla nastrój szkoły amerykańskiej i ustosunkowanie się jej do momentów dziejowych, które i nas tak bezpośrednio obchodzą. Poza tem sama metoda przeprowadzenia zagadnienia nie jest nam tak bardzo obca.

— Mrs. Haupt, nauczycielka ósmego oddziału w Kishwaukee School, Rockford, Illinois podaje projekt na temat: Jakie postępy w sztuce wojennej wykazała Wojna Światowa w stosunku do Wojny Domowej? —

Po szerokiej dyskusji uczniowie ułożyli listę tematów, która stworzyć miała podstawę dla studjów i dla podziału pracy między nimi.

Tematy były porównawcze — czasy najdawniejsze i rok 1918, — począwszy od zaciągu do wojska, ekwipunku, broni, żywności, finansowania wojny, transportu wojsk, floty, rodzajów bitew, ducha wojska, zniszczenia kraju, zdobywania, kapitulacji, demobilizacji, traktatu pokojowego, aż po pieśni patrjotyczne, okrzyki tryumfalne, dobosze, orkiestry, utwory poetyckie z roku 1860 i z r. 1918. Po ustaleniu kolejności pracy, nauczycielka udała się naprzód sama do bibljoteki, celem przeglądu materjału, a przygotowawszy wraz z bibljotekarką źródła, z których uczniowie mogli czerpać potrzebne im wiadomości, poleciła całej klasie udać się do bibljoteki. Książki można było zabierać ze sobą do domu. Następnego dnia referowano w klasie w porządku, wskazanym w zarysie ogólnym. Po każdym referacie następowała ogólna dyskusja, zadawano pytania, stawiano zarzuty. Rozmieszczenie obozów, fortów i kadr dawało sposobność do praktycznych ćwiczeń z zakresu geografji, uczyniono przytem spostrzeżenie, że nazwy wielu z nich pochodzą od nazwisk wodzów.

Powyższy projekt wskazuje na ogrom pracy tak nauczycielki, jak i uczniów. Metoda systematycznego przedstawiania przedmiotu dałaby w daleko krótszym czasie ten sam może zasób wiedzy, zyskanoby więc na czasie, ale metoda projektu wzbudziła niesłabnące zainteresowanie całej klasy, w ciągu całej pracy, — zapał, — dała możność nauczenia się samodzielnego wykonywania pracy, umiejętności korzystania z bibljoteki, i wprawę w ustnem referowaniu tematów pojedyńczych uczniów wobec całej klasy. Walory nie do odrzucenia! —

Bardzo ciekawym jest projekt przeprowadzony przez Laurę Ryan, nau-

czycielkę 7 odziału w. Blake School, Rockford, Illinois z zakresu nauki obywatelstwa, na temat: W jaki sposób możemy najlepiej zamerykanizować obcokrajowców w Rockford?

Na lekcjach historji omawiano czynniki przeciwdziałające amerykanizowaniu się świeżej imigracji obcych narodowości, zamieszkujących Stany. Rozważano także plany rządu centralnego, zmierzające do zasymilowania licznego elementu napływowego. Wywiązała się więc długa i interesująca dyskusja o warunkach bytu i charakterystycznych cechach obcokrajowych grup narodowościowych. Z rozważania nad imigracją i jej wpływu na życie państwowe wyłoniła się kwestja wpływu tejże na życie miejskie. Pytanie co robi państwo, aby zasymilować obcy element, postawiło klasę wobec czysto lokalnego zagadnienia: Co może zrobić miasto Rockford, aby zamerykanizować swych cudzoziemskich mieszkańców?

Dwóch chłopców ofiarowało się utworzyć komisję badań i poznać wyczerpująco całą tę sprawę. Materjał czerpano z rozmów z duchownymi, ze świadectw szkolnych, z aktów nabywania praw obywatelskich, — to ich przekonało, że ludzie ci przybyli przeważnie z Europy pd. I rzeczywiście w szkole samej było 32% dzieci, których rodzice byli immigrantami z tych krajów. Starano się teraz dowiedzieć, dlaczego przybyli oni do Ameryki. Prócz książek, potrzebnych informacyj dostarczali uczniowie Włosi, Grecy, Litwini i inni, uczęszczający do tejże szkoły. Pewien dziesięcioletni chłopczyk, Litwin, zapytany, dlaczego jego ojciec przybył do Ameryki, — napisał: „Ojciec mój urodził się w Rosji. Gdy był jeszcze małym chłopcem, car zabraniał ludziom uczyć się. Mieliśmy krewnych w Ameryce. Oni napisali do niego. Mówil nam, że tu jest bardzo dobry rząd. Więc on przyjechał i pracował w kopalni węgla w środkowem Illinois. Wieczorami chodził do szkoły wieczornej i wyrobił sobie obywatelstwo. Onby już za nic nie wrócił do Rosji“. —

Korzystano także w dużej mierze z bibljotek publicznych. Chłopcy czytali dzieła bardzo poważne, jak: „Imigracja a społeczeństwo“ Abbota; „Kraj obiecany“ Mary Antin; „Amerykanizacja“ Jakóba Bues; i robili z nich notatki. To wszystko przekonało klasę, że czynnikami asymilującymi obcokrajowców będą: bibljoteki publiczne, szkoły wieczorne, fabryki, domy ludowe, kościoły, ochronki, dzienniki, kinematografy. Celem klasy stało się teraz dążenie zaszczepienia wśród imigracji za pośrednictwem ich dzieci ducha ideałów amerykańskich. Ponieważ jednym z najsilniejszych węzłów, łączących społeczeństwo amerykańskie jest wspólny język, przeto dzieci w domu musiały używać języka angielskiego, aby rodziców w ten sposób zapoznać z obowiązkami obywateli amerykańskich.

Klasa ta liczyła dwudziestu dwóch uczniów, których podzielono na komisje, złożone każda z dwojga dzieci. Komisje te miały zwiedzać organi-

zacje opieki społecznej i dowiadywać się od nich, co organizacje te czynią w tym zakresie. Udano się też do Rockfordzkiego Klubu Kobiet, prowadzonego przez Ligę Kobiet Katolickich, które prowadziły ochronki, a równocześnie opiekowały się też matkami powierzonych im dzieci w domu. Otóż każda kobieta z Rockfordzkiego Klubu zawierała bliższą znajomość conajmniej z jednym domem cudzoziemskim w Rockford i pracowała nad jego zamerykanizowaniem. Dalszym krokiem klasy było zaznajomienie się z tem, co robią inne miasta w kierunku amerykanizacji. Każde dziecko napisało list do Izby Handlowej miasta, które popierało tę akcję. Z otrzymanych odpowiedzi dowiedzieli się, że cała ta praca koncentruje się wokoło dwóch zasadniczych zadań: zadanie pierwsze — to bliższe zetknięcie się rodzin obcokrajowców z językiem, obyczajami i ideałami amerykańskiemi; zadanie drugie — to zaznajomienie rodowitych Amerykanów z rasowemi i politycznemi upodobaniami obcokrajowców.

Bezpośrednim rezultatem tej pracy było założenie przez klasę Klubu Amerykanizacyjnego, mającego na celu bliższe zaznajomienie się z ludźmi najbliższego sąsiedztwa, przez to zaznajamiali się także z warunkami życia miasta. Badania te nauczyły ich też, jaką postawę powinni zajmować wobec różnych spraw życiowych. Uczniowie zaczęli się też bardziej interesować zagadnieniami publicznemi, i czytali dużo z tego zakresu, zapałali też gorącą chęcią służenia sprawie ogólnej.

Tyle o samym projekcie, poza tem trudno ustrzec się od melancholijnej wzmianki — jak tam na szerokim świecie załatwia się poprostu sprawy związane z bytem innego narodu — i decyduje się o nim — bez niego. I to kto? Stany Zjednoczone, gdzie konstytucja gwarantuje szeroko wolność w każdym jej calu. Jakżeż dalekie są nasze szkoły od zamierzeń tego rodzaju!

Poznań, *J. Makosińska.*

Krótki zarys rozwoju nauk w Grecji starożytnej

PITAGORAS I JEGO SZKOŁA

U żadnego z filozofów okresu helleńskiego nauki ścisłe nie zajęły tak panującego stanowiska, jak w szkole założonej przez Pitogorasa (Pythagoras, syn Mnesarchosa, ok. 580 — 500 r. przed N. Chr.). Wielki ten myśliciel pochodził z wyspy Samos; był więc także jończykiem. Pierwszym jego mistrzem był Pherykydes z Syros, znał również Talesa i za jego radą udał się do Egiptu, stamtąd do Babylonji, a nawet do Indji, gdzie zapoznał się z pierwotnemi źródłami wschodniej mądrości.

Wzbogacony wiadomościami powrócił do ojczyzny, którą jednak wkrótce musiał opuścić, uchodząc przed tyranją Polikratesa i po długich podróżach osiadł w Krotonie, południowo - italskiej kolonji greckiej, gdzie wystą-

pił jako reformator stosunków społecznych na zasadach etyczno - religijnych i arystokratycznych. Założył tam jednocześnie szkołę, a raczej zakon „pitagorejski", bractwo polityczne, gdzie pielęgnowano cnoty porządku, umiarkowania i harmonji duchowej. Szkole tej nadał charakter zamkniętej, nawpół teokratycznej organizaczji, z surową regułą dla nowowystępujących, w której więcej zacieśnione koło wtajemniczonych związane było przysięgą chronienia przez całe życie świętych tajemnic swego założyciela. Szybko wzrastającą liczbę adeptów podzielił na uczniów właściwych, czyli „matematyków" i słuchaczy, czyli „akuznatyków"; do stowarzyszenia mogły także należeć kobiety, np. Iheano, żona Pitagorasa. Dzięki solidnej wewnętrznej organizacji, zakon piagorajski zaczął zyskiwać coraz większy wpływ na życie polityczne miasta i okolicy, aż w końcu posiadł nieograniczoną władzę nad swymi współziomkami. Jako władca świecki, Pitagoras, dokonał tego, że Krotona stała się wzorem miasta praworządnego i zwyciężyła sąsiedni Sybarys, z którym poprzednio ciągle wojować musiała.

Jednak próba wprowadzenia do zespołu wolnych hellenów teokratycznych zasad wschodnich nie mogła ostać się długo, tembardziej, że próba ta wypadła jak raz w czasie ruchów wolnościowych ogarniających Grecję, tych ruchów, które przecież w końcu VI i na początku V-go wieku podniosły masy ludowe przeciwko tyranom i uzurpatorom władzy. Nie mogła też pozostać w tyle i Krotona. Demokraci odnoszą zwycięstwo na całej linji i Pitagoras wraz z uczniami musi chronić się do sąsiedniego Tarentu. Lecz i tutaj lud powstaje przeciw arystokratom i podejrzanemu tajnemu sowarzyszeniu; dziewięćdziesięcioletni mistrz ginie podczas nocnej walki na ulicach miasteczka Metapontu, dokąd uszedł był po porażce w Tarencie.

Uczniowie Pitagorasa, unikając prześladowań, rozpierzchli się częściowo po wyspach Archipelagu, częściowo po krajach Grecji właściwej i, szukając środków do utrzymania, zakładali szkoły już nie w celu tworzenia tajnych organizacyi, lecz w celu rozwijania nauk swego mistrza; w ten sposób tajemnice naukowe stały się ogólno - kulturalnym dobytkiem całego narodu greckiego. Potomność osnuła osobę Pitagorasa nimbem legendarnym, niemal jak proroka, to też obecnie nie możemy stwierdzić dokładnie, jakie właściwie odkrycia naukowe przypisać należy jemu samemu, co przywiózł z zagranicy, a co stworzyli jego uczniowie.

Jakby niedokładne były podania historyczne, faktem jest, że wpływ poglądów zagranicznych zaznacza się wyraźnie na całej filozofji pitagorejczyków. Dualistyczne poglądy wschodu rozszerzyły się w tej szkole i na dziedzinę liczbową: liczby parzyste były przez nich pojmowane jako symbole czegoś złego, nieparzyste — dobrego; niektórym liczbom, jak np. pięciu i siedmiu nadawano specjalne mistyczne znaczenia; z wielkiem upodobaniem zajmowano się kwadratami magicznymi, tworzono różne amulety arytme-

tyczne. Z biegiem czasu mistycyzm liczbowy zamienił się na metafizykę, wschodnie zabarwienia religijne zostały zastąpione nauką filozoficzną, w której począł przejawiać się, chociaż jeszcze mętnie, nasz obecny światopogląd naukowy. Tendencje naukowe szkoły pitagorajczyków były wynikiem poglądów filozoficznych jej założyciela. Jego mistycyzm szukał we własnościach wielkości oderwanych objaśnienia zjawisk natury i to doprowadziło go do wyższego, więcej naukowego pojmowania matematyki aniżeli szkoła jońska, która posiadała kierunek tylko praktyczny. To co zwykle nazywamy arytmetyką, właściwie rachunkowość, u Greków nosiło nazwę „logistyki" (od słowa logos — stosunek); nauki tej Pitagoras nie uważał za godną swoich traktatów, mówiąc, że postawił matematykę „powyżej wymagań targowych". W pracach późniejszego pisarza Proklosa znajdujemy taką wzmiankę: „po jończykach Pitagoras dał matematyce postać nauki wolnej, gdyż jej zasady badał z wyższego punktu widzenia, nadając tym badaniom kierunek niematerjalny, indywidualny". Temu kierunkowi zawdzięczamy rozwój greckiej arytmetyki, jako nauki, z niej bowiem powstała nasza obecna teorja liczb.

(Dalszy ciąg nastąpi).

prof. Zyg. Dąbrowski.

W klasztorze niemieckim X w.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Był rok 936. Odźwierny klasztoru św. Jerzego w górach Harcu po poobiedniej drzemce wygrzewał się przy oknie na słońcu i spoglądał na lasy, otaczające wzgórze klasztorne. Wzrok staruszka z rozczuleniem ogarniał szeroką dolinę, wioski nad rzeką, łąki i pola, pagórki. Wszystko to należało do braciszków św. Jerzego. Ze szczególnem zadowoleniem patrzył na jedno z tych setek wzgórz, na którem wznosił się zamek starosty dóbr klasztornych. Był to wojownik dzielny, obrońca nieustraszony pracowitej braci. Wszędzie wiedziano, że zadrzeć z nim niebezpiecznie; dlatego nie łatwo było wrogim sąsiadom uczynić najazd na bogate włości św. Jerzego. Uwaga staruszka została odwrócona tętentem na drodze. Z lasu wynurzyły się postacie dwu jeźdźców, za nimi wkrótce ukazał się chłopak na koniu. „Pewno — nowy uczeń" pomyślał odźwierny i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż spodziewał się, że przybysze ofiarują klasztorowi kawał gruntu, stadko owiec lub tuzin koni — jako konieczną zapłatę za naukę. Duża, czarna brama rozwarła się i padło pytanie: „Coście za jedni, dzieci dalekiego świata"? Rycerz o czerwonej opalonej twarzy odrzekł: „Przybywamy z nad Łaby. Grody nasze są w krainie Słowian". „Jesteście poganami"? — zapytał przelękniony mnich, żegnając się. „Nie! Jesteśmy Sasami, dobrymi chrześcijaninami. Jestem burgrabią, nazywam się Odo, a to jest hr. Hezo". Ten rzekł: „Zamierzam wystawić w swych dobrach zamek murowany. Przybyłem, by prosić najczcigodniejszego przeora o wykonanie planu budowy. Wszak to potrafi któryś z waszych uczonych i znających się na budownictwie braciszków. Proszę również o przysłanie mi paru waszych murarzy pod kierunkiem wprawnego braciszka". „Przychodzisz tu w dobrej sprawie, możesz wejść" — odrzekł odźwierny. Odo wskazując mu chłopaka, powiedział: „To jest Tankmar, mój najmłodszy synek. Chcę umieścić go w waszej szkole". „Czy poświęciliście go Panu?" Ojciec odpowiedział cichym głosem: „Gdy ledwo umiał chodzić, zaprowadziłem go do wiejskiego kościoła. Ksiądz wziął

obrus z ołtarza, okrył nim dziecko i pobłogosławił". „Niech trzykroć błogosławionem będzie twe przybycie" — zwrócił się mnich do chłopaka i położył mu ręce na głowie. Chłopiec podniósł głowę, spojrzał staremu w oczy i oświadczył: „Długo tu nie zostanę. Ojciec wkrótce wróci i zabierze mnie stąd". — „Tak być nie może. Poświęcony winien służyć Panu przez całe życie". — „Ojcze! Czy to ma być tak"? — Ojciec mrugnął mnichowi i uspokoił syna: „Jedziemy, mój mały, do Frankonji, do Akwizgranu, na koronację króla. Gdy wrócimy, nauczysz się już wielu rzeczy i będziesz mógł odjechać z nami". Mnich zanurzył kropidło w kamiennej kropielnicy i pokropił przybyszów wodą święconą. „Chłopak nie będzie pokornem dzieckiem. Gdy patrzył na mnie, oczy były ostre jak miecze. Taki nie zapomni tak łatwo o swem wolnem życiu". Przyjezdni zostali zaprowadzeni do długiego niskiego budynku. W jednej z komnat, siedziało na ławach z dziesięciu tęgich ludzi. Wszyscy pogrążeni byli we śnie. Na ścianie Tankmar ujrzał pancerz, miecz i tarczę. Oczy mu błyszczały radośnie. „Ojcze, szepnął, tu jak u nas w zamku. Toż to zbrojna służba". Mnich, słysząc to, objaśnił, że ci zbrojni są tylko przy bramie, by nie dopuszczać zbójów i włóczęgów. „Ej"! krzyknął następnie jednemu nad uchem. „Zaprowadź konie do stajni. A ty, mały pozostań przy nim. My idziemy do opata. Przyślemy wkrótce po ciebie". Chłopak i służący poprowadzili konie do stajni, gdzie było dużo wspaniałych rumaków i roboczych koni, które spokojnie chrupały swój owies. Chłopak uspokoił się i zapytał służącego: „Macie tu też zbrojownię"? — „Jeszcze jaką. Miecze stoją szeregami; tarcz i dzid nieprzeliczone mnóstwo. Łuków i strzał, sajdaków, ostróg i siodeł — masy. Ujrzysz tam tysiące podków i zbroję dla każdego braciszka; opat ma srebrny pancerz. Klucz chowa opat, więc nie mogę teraz pokazać ci wnętrza. Wtem nadszedł mnich o ponurym wyglądzie, w długim czarnym habicie. Spojrzał z wyrzutem i rzekł: „Rzecz oczywista — przesiaduje tu, marnując czas na paplaninie i zabawie. Idź ze mną!" Zmieszany chłopiec zapytał: „Czego chcesz ode mnie?" „Tu nie wolno pytać. Tu czynią to, co rozkażemy". „Nie pójdę, jeśli nie dowiem się dokąd". Mnich groźnym głosem krzyknął: „Posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem poświęconego. Idź za mną". Tankmari krew rzuciła się do głowy; mimowoli cofnął się o parę kroków. „Smarkaczu! Będziesz mi długo jeszcze opierać się? Biada temu, kto jest nieposłusznym. Ja cię nauczę być pokornym sługą Pana". Prowadzony mocno za rękę chłopak z przerażeniem myślał o swym losie. On, dumny syn swego ojca, właściciela zamku pełnego służby, ma sam być tu cierpliwym pachołkiem? „Nie chcę" wrzasnął i rzucił się do ucieczki. Rozgniewany mnich nie gonił go, lecz mruczał: „Rozbestwiony szubrawiec! Świętemu Jerzemu potrzebni są inni ludzie. Mamy niemało trzciny na stawie. My cię nauczymy moresu".

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy chłopca wprowadzono do komnaty opata, ujrzał go na pięknym, rzeźbionym fotelu. Był to dostojny starzec. W ręce trzymał długi pastorał, na piersiach miał duży złoty krzyż na złotym łańcuchu. Tankmar ukląknął przed starcem, który udzielił mu błogosławieństwa i nazwał uczniem św. Jerzego. Chłopak skoczył następnie ku ojcu, mocno przylgnął ku niemu i szepnął: „Ojcze, nie zostawiaj mię tu"! — „Musisz tu zostać"! — „Ojcze, tu mię zamienią w pachołka"! Opat przyglądał się dzikiej twarzy chłopca i zabrał głos, gdyż ojciec nie wiedział już, jak ma postąpić. „Dziecię, już nie jesteś synem twego ojca. Musisz stać się dziecięciem Bożem. Ja będę ci rozkazywał. Patrz, słuchają mnie wszyscy braciszkowie. Ja zaś spełniam rozkazy najświętszego ojca, który przebywa w Rzymie i wykonuje wolę świętych aniołów, przebywających w niebie"! Chłopak uczepił się ojca i błagał go: „Ojcze, wracaj z Akwizgranu jak najszybciej. Nie wytrzymam tu długo. Powiedz, kiedy zabierzesz mnie stąd". Ojciec nie mógł wyrzec ani słowa. Rozległ się głos opata: „Nigdy, mój chłopcze. Ciesz się, że możesz tu pozostać. Ciesz się, że gdy wyrośniesz, będziesz przy ołtarzu wznosił chwałę Panu i zostaniesz cnotliwym mnichem. Pomyśl, jak uszczęśliwioną będzie twa mat-

ka, gdy zostaniesz sługą kościoła, gdy zyskasz łaskę od mocy niebieskich po wsze wieki. Przyczynisz się do zbawienia dusz swych rodziców". Chłopak wlepił w mówiącego przerażone oczy. Hr. Hesod wstał, ujął chłopca za ramię i rzekł: „Bądź zuchem i ucz się pilnie. Zostaniesz biskupem". Ojciec uściskał go na pożegnanie. Dzieciak stał jak nieprzytomny. Nie rozumiał, o czem mówią starsi. Opat żegnał przybyszów słowami: „Wkrótce pojadę do krainy nad Łabą, tam są dobra naszego klasztoru. Muszę obaczyć, jak są zagospodarowane. Ponieważ położone są w pobliżu waszych posiadłości, wstąpię do was". „To będzie dla nas zaszczytem, dostojny Ojcze! Przytem będziesz mógł obejrzeć łąkę, którą wam zapisałem. W ten sposób odwdzięczę się klasztorowi, który zaprawia syna mego do służby Bożej". Opat podziękował i obiecał przygotować plan budowy przed powrotem burgrabiego. „Polecam was opiece Najwyższego! Niech prowadzi was do grodu, który niegdyś zamieszkiwał Wielki Cesarz Karol. Cieszę się, że ujrzycie w blaskach starodawnej frankońskiej korony młodocianego Ottona, szlachetną latorośl naszej saskiej krainy. Ślę pozdrowienie memu siostrzeńcowi, arcybiskupowi Moguncji, którego wybrano do dopełnienia uroczystej koronacji. Dowiedzcie się szczegółowo, jaki jest stosunek nowego króla do możnych panów.

— — — — — — — — — — — — — — —

Chłopak stał przy oknie i patrzał, jak ojciec oddalał się aleją z wiązów i jak zamknęła się za nim furta. Rozmyślał o tem, czy da się łatwo wdrapać na mur i uciec, gdy ponury mnich zjawił się nagle i kazał iść za sobą. Minęli jakieś podwórze, otoczone wysokiemi budynkami. Żadnego wyjścia, żadnej możności ucieczki. Mnóstwo braciszków używało przechadzki pod sklepieniami krużganku, który otaczał podwórze. Inni gawędzili, siedząc na krawędzi basenu, pośród którego bił wodotrysk, w cieniu olbrzymiej lipy. To ten, to ów spoglądał na idącego chłopaka. Mnich zaprowadził go do sypialni, kazał włożyć habit brunatny i wskazał na siennik, który miał być jego łożem. Ledwo zadąsany Tankmar skończył przebieranie się, gdy rozległ się dzwonek, wołający do szkoły. Przez małe okno przybysz ujrzał tłum małych mnichów, którzy kończyli spacer i podążali do drzwi szkoły w zupełnem milczeniu. „A więc i ja będę jednym z nich". Wzrokiem nie mógł już nic ogarnąć oprócz skrawka niebios i dwupiętrowych budynków. Zdjął go wielki lęk. Wtem drzwi się otwarły i wszedł mały mniszek o twarzy niezmiernie mizernej i bladej. Poszli razem do szkoły, nie zamieniając ani słowa. Nauczyciel, dobrotliwy braciszek, uczył chłopców rachunków. Gdy ujrzał zasmuconą twarz przybysza, zmienił temat lekcji i zaczął opowiadać o św. Jerzym tak interesująco, że Tankmar zapomniał o swem nieszczęściu.

Następnie nauczyciel dał mu pociągniętą woskiem tabliczkę, na której drążkiem grafitowym narysował jakieś dziwne okrągłe i spiczaste figurki, nazwał je literami i kazał chłopcom rysować je na swych tabliczkach. Czynili to chętnie. Tankmar uporał się z tem też bez trudności. Natomiast śmieszyło go powtarzanie zdań, wygłaszanych przez nauczyciela w nieznanym języku. Po dłuższem przysłuchiwaniu się zrozumiał, że język ten słyszał w kościele. „A więc tu uczą łaciny" — pomyślał. Gdy siedział bezczynnie, nauczyciel zwrócił sie do niego ze słowami: „Tam na ławce leżą trzy księgi; przynieś mi pierwszą". Księga była tak duża, ciężka, że chłopak ledwo mógł ruszyć ją z miejsca. Gdy usłyszał uśmiechy, skupił wszystkie siły, uniósł ciężar i złożył na kolanach mnicha. Twarz miał czerwoną od naprężenia. Chłopcy przestali się śmiać, na twarzach niektórych malowało się zdumienie. Nauczyciel pogłaskał go po twarzy i rzekł: „Zuch z ciebie! Gdy oni byli w twym wieku, żaden tego nie potrafił uczynić". Każdy chłopak kolejno musiał odczytać coś z księgi. Tankmara znużyło słuchanie, jak wystękiwali litery, myśli jego uniosły się ku domowi. Nauczyciel spostrzegł, w jakiej smutnej zadumie przebywał nowy uczeń i pożałował dziecka, westchnął i pomyślał: „Jakżeż ciężką jest droga, prowadząca do niebios; wszyscy jednak musimy przejść po niej". By urozmaicić naukę, przyniósł harfę, ustawił chłopców do chóru,

i kazał śpiewać wszystkie znane im psalmy. Piękno melodji tak przejęło Tankmara, że gdy uderzył dzwon na „Anioł Pański" i dzieci parami ruszyły do kościoła, w uszach mu wciąż dźwięczał piękny śpiew. Po nieszporach twarze chłopaków rozjaśniły się, gdyż tylko wieczorem mogli użyć swobody i wychylić się za mury szkolne. Jednej grupie nauczyciel pozwolił pójść do kowala i dopomóc do szlifowania sierpów i noży, inni mieli czekać na przybycie pacholków z sianem i zająć się zrzucaniem go z wozów. „Wy, zwrócił się do trzeciej grupy, w której był Tankmar, idźcie do warsztatów, w których pracuje cieśla. Uczcie się wyrabiać drewniane chodaki, grabie, łopaty. Gdy będziecie biegli w tem rzemiośle, nauczycie się rzeźbiarstwa i wyplatania koszy". Tankmar był rozgoryczony, że zmuszają go do pracy, wykonywanej przez pachołków jego ojca. Jakiś duży chłopiec zadrwił z przybysza. „Gdy będziesz szedł koło stawu, nie wpadnij do wody, boby nawet ryby nie chciały ciebie tknąć". Drugi dorzucił: „Przecież i my nie wiemy, jak smakują ryby. Są one przeznaczone dla braciszków tylko"! „Czy nas będą bić? Przecież sługi panowie biją", zapytał przerażony Tankmar. „Czy widziałeś pokój, w którym odbywa się chłosta. Wczoraj kucharz wyszedł z tego pokoju z bardzo bolesną miną". Tankmar dumnie podniósł głowę i powiedział kolegom: „Nikt nie śmie mnie uderzyć. Matka moja jest córką hrabiego, ojciec jest szlachcicem". Na to usłyszał odpowiedź: „Czasami braciszkowie sami się biczują". To wydało się Tankmarowi zupełnie niezrozumiałem.

Przy drzwiach pracowni ujrzeli siedzącego mnicha, który nożem rzeźbił na desce postać rycerza. „Jakie to piękne" — zawołał. „Kim jest ten rycerz"? Mnich spojrzał z wielką powagą i rzekł: „Widzę, że jesteś przybyszem, bo nie wiesz, że podczas pracy nie wolno nam rozmawiać. Powiem ci jednak, że rzeźbę tę pomaluję i odbiję na pergamencie. Będzie to postać św. Jerzego. Idź pracuj". W pracowni otrzymali noże i drążki, z których mieli wycinać trzonki do łopat. Z goryczą myślał Tankmar o tem że wypadło mu wyrabiać łopaty dla chłopów. Gdy po pracy i wieczerzy udał się do sypialni, długo nie mógł zasnąć na swym sienniku, płacząc i wzdychając. Uważał siebie za odepchniętego przez rodziców.

(D. c. n.) St. Wesołek.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera-Polaka *)

Dziad wasz Franciszek Suski przyjechał do Moskwy po córkę Faustynę, umieszczoną na pensji p. Sevenard i zabrał ze sobą waszą przyszłą matkę Annę; trzecia siostra miała już męża — urzędnika Akinfja Poznjakowa. Z niecierpliwością jechałem do hotelu, pragnąc ujrzeć tę, o której charakterze słyszałem tyle dobrego. P. Suski przyjął mnie jak krewnego i zaczął rozmowę po polsku, co mnie bardzo wzruszyło. Przy herbacie obserwowałem panny, tocząc ożywioną rozmowę z gospodarzem. Pensjonarka, blondyneczka kędzierzawa, miała bystre oczka ciągle zwrócone na mnie. Siostra jej miała twarz sympatyczną, lecz ze śladami ospy, która szpeciła w Rosji mnóstwo ludzi; cechowała ją dobroć i łagodność; zdobił główkę wspaniały warkocz. Wreszcie przemówiłem do panien. One się zmieszały i odpowiedziały, że po polsku nie rozumieją, gdyż przybyły do Rosji we wczesnem dzieciństwie i tak samo jak wy, kochane dziatki moje, dla których piszę ten pamiętnik, nie znały swej mowy ojczystej. Rozmowa potoczyła się po rosyjsku; pensjonarka miała ostry języczek, rozpoczęła ze mną dowcipne spory, natomiast matka wasza mówiła mało, ciągle była zażenowana i zarumieniona, gdyż domyślała się celu mej wizyty. Już było bardzo późno, gdy rozstałem się z miłą rodziną. Usilnie zapraszano mnie odwiedzać ten dom; pensjonarka śmiało mówiła: „Wyrwałam się z klatki, chcę rozrywek i ciekawych rozmów, wesołości. Więc niech Pan przyjeżdża jak najczęściej. Ojciec rewizytował mnie nazajutrz. Zacząłem bywać, je-

*) Patrz N. 12 z r. 1931.

ździliśmy razem do teatru. Matka wasza coraz bardziej podobała mi się. Uważałem nawet za dobre, że nie jest bardzo piękną, bo w takim razie kobieta bywa bardziej oddana rodzinie. O ojcu jej słyszałem niemało dobrego i złego. Mówiono, że był dobrym gospodarzem, który doprowadzał do kwitnącego stanu zrujnowane dobra, że zdołał uciułać majątek, lecz miał twardy charakter i skąpy był niezmiernie. Małżeństwo córki z Rakitinem nie doszło do skutku dlatego, że nie chciał nic dać córce, a przed ślubem trzeciej córki narzeczony oświadczył, że nie pojedzie do cerkwi, póki nie otrzyma obiecanego posagu — 5000 rubli. Nastąpiła gwałtowna scena. Ojciec zmuszony był ulec. Opowiadania te mało mnie obchodziły. Byłem dobrze sytuowany; posag odgrywał małą rolę w mych pojęciach. Po ślubie wyjechalibyśmy daleko, więc charakteru teścia nie zaznałbym. Matka wasza podobała mi się przedewszystkiem dlatego, że była katoliczką. Do tej wiary wuj Rafał zaszczepił mi bardzo mocne przywiązanie. Myślałem, że wykonam wolę swego dobroczyńcy, jeśli zawrę to małżeństwo. Pomodliłem się i powziąłem postanowienie. Powiedziałem o tem koledze Ehrenkreutzowi. Ten uprzedził Suskiego, który wykazał życzliwy stosunek do sprawy i zapowiedział pożegnalną wizytę u mnie. Podczas tej wizyty poinformowałem go o swej przyszłej karjerze. Pokazałem list generała Romanowicza i prosiłem o rękę córki Anny. Suski bardzo grzecznie i rozsądnie zaczął zapewniać, że uważa mnie za człowieka nieskazitelnej uczciwości i że nie wyobraża sobie lepszego męża dla swej córki, lecz wobec tego, że jadę do kraju oddalonego o 2000 kilometrów, nie może w tej chwili zdecydować się, lecz zaczeka, aż tam się urządzę i wznowię swe starania. Gdy wyszedł, byłem wpierw bardzo niezadowolony z tej decyzji, lecz wkrótce doszedłem do przekonania, że ma zupełną rację. Poleciłem całą sprawę Bogu.

Co się działo w Polsce, nie miałem pojęcia, gdyż od r. 1845 wuj Rafał nie pisał. Toteż ogromnie się ucieszyłem, gdy w styczniu 1825 otrzymałem rozkaz wybrania z pułków 6 korpusu piechoty żołnierzy dla uzupełnienia 2 dywizji artylerji. Miałem ten oddział umundurować, przewieźć do Warszawy i przekazać sztabowi 2 korpusu. Jechać miałem przez Petersburg, gdzie oddział ten miał być inspektowany przez cara. Polecenie to nie było łatwem do wykonania. Odpowiedzialność była wielka, lecz zaszczyt też był nielada. Przedewszystkiem cieszyłem się, że ujrzę krewnych i — kraj ojczysty. Wszyscy moi przełożeni obawiali się tej Najwyższej inspekcji, narobili wrzawy coniemiara, padaliśmy ze znużenia. Wreszcie wszystkie kłopoty zostały ukończone i 4 lutego załadowałem żołnierzy do wagonów specjalnego pociągu kolei Mikołajewskiej. Kolej ta, jedyna w Rosji ówczesnej, ukończona była w r. 1851. Opowiadano o niej różne głupstwa, publiczność niechętnie korzystała z niej. O poziomie umysłowym i usposobieniu ówczesnych Rosjan świadczy wypadek następujący. Gdy urzędowo otwarto ruch na kolei, generał - gubernator Moskwy hr. Zakrewski przywołał reprezentantów wszystkich stanów i w pięknej mowie wyłożył im olbrzymią doniosłość tego sposobu komunikacji i niewątpliwy dobroczynny wpływ jego na dobrobyt starej stolicy. Gdy zgromadzeni zostali całkowicie przekonani, Zakrewski dał im do zrozumienia, że powinni należycie podziękować carowi za te dobrodziejstwa, wybrać w tym celu delegację i wyprawić ją do Petersburga. Zgromadzeni zgodzili się jak najchętniej i oświadczyli, że niezwłocznie wykonają to postanowienie. Nazajutrz przybył do pałacu generał - gubernatora prezydent Moskwy i oświadczył, że delegacja już odjechała do Petersburga. Zakrewski był zachwycony patrjotyzmem moskwiczów, lecz jakżeż jego mina zrzedła, gdy w ślad za tem przybył oberpolicmajster z oszałamiającą nowiną, że delegacja wyruszyła szosą w dylinżansach... Hrabia wybuchnął gniewem straszliwym, zbeształ prezydenta, nazwał delegatów osłami, rozesłał depesze do stacyj na szosie, nakazując wstrzymanie delegacji i powrót jej do Moskwy. Gdy przerażeni czciciele konnych omnibusów przybyli, zostali otoczeni przez policję i jako tchórze i obłudnicy załadowani z rozkazu Zakrewskiego do wagonu I kl. i wytransportowani do cara.

Nasza podróż była dość przyjemna. Podłogę wagonów dla żołnierzy pokryto warstwą słomy, na której mogli spać. Przypadek zrządził, że tym pociągiem wysyłano do Petersburga wagon carski. By nie obciążać lokomotywy, wagon przeznaczony dla oficerów zostawiono, a nas umieszczono w tym pałacu na kołach. Składał się on z salonu, dwu sypialni, pokoju dla służby, oszklonej galeryjki i porządnego angielskiego klozetu. Umeblowanie było tak kosztowne, że wpierw baliśmy się poruszyć, by czegoś nie uszkodzić lub nie zanieczyścić, lecz nadkonduktor zachęcał nas dobrotliwie do swobodnego korzystania z apartamentów. Dwie noce spaliśmy znakomicie wśród tego przepychu. W Petersburgu rewja odbyła się w sali marmurowej Pałacu Zimowego. O ogromie tej sali może świadczyć to, że 500 mych żołnierzy, ustawionych dość luźnie nie zajęło nawet połowy tej sali. Mikołaj pierwszy był w wyśmienitym nastroju, śmiał się, żartował. Pochwalił wybór ludzi. Długo rozmawiał ze mną i kazał zakomunikować komendantowi korpusu o swem zadowoleniu. Żołnierzy zapytał, czy podobała się jazda koleją. Gdy zgodnie wrzasnęli: „Najuniżeniej dziękujemy Waszej Cesarskiej Mości“, powiedział ze śmiechem, że do Warszawy kolej jeszcze nie istnieje, wypadnie odbyć marsz pieszo, lecz piechurowi to służy na pożytek i wzmacnia na zdrowiu. Car był w surducie bez szabli. Marsz do Warszawy trwał trzy miesiące po wspaniałej szosie. Wylewy wiosenne nam nie szkodziły. Żołnierz przybył do Warszawy zdrowy, dobrze ubrany i wesoły. Feldmarszałek Paskiewicz obejrzał mój oddział na placu Zamkowym, był bardzo zadowolony i dziękował wielokrotnie. Żołnierzy wyprawiłem z oficerem na Powązki do obozu. Sam pozostałem w mieście. Kochane dziatki! Wyobrazić sobie nie możecie, jak się cieszyłem, gdy zostałem wreszcie sam i mogłem się rozejrzeć w tak mi znanej i kochanej Warszawie. Poprostu tchu mi brakowało z zachwytu. Bagaż wyprawiłem do mieszkania z mym poczciwym Hryćkiem, sam natomiast ruszyłem dorożką oglądać dawno niewidzianą, lecz tak znaną Warszawę, która wydała mi się znacznie piękniejszą, niż była przed kilkunastu laty, gdym się z nią rozstał. Z rozczuleniem wszedłem do domu, z którego wyjechałem do korpusu przed 15 laty. Wszystko tam było obcem, mieszkali już całkiem inni ludzie. Postałem w zadumie na korytarzu, gdzie biegałem i bawiłem się w dzieciństwie. Udałem się do kościoła, w którym jako dziecko stale bywałem; wejść nie mogłem, bo świątynia była zamknięta. Czarujące, nawpół zapomniane obrazy i przeżycia napełniły mą duszę. Jednak wkrótce uczucie samotności zalało mnie goryczą, poczułem się nieznośnie obcym wśród tych murów i ludzi, łzy obficie popłynęły. Gdy się uspokoiłem, udałem się do znanej restauracyjki i za 20 kopiejek w srebrze spożyłem czysto przyrządzony i obfity obiad. Mieszkanie miałem dość porządne. Życie popłynęło spokojnie. Oddział swój przekazałem generałowi Sierzputowskiemu, naczelnikowi 2 dywizji artylerji. Był to człowiek łagodny, uprzejmy, delikatny. Zaświadczenie, wydane przez niego o stanie żołnierzy, było tak pochlebne, że otrzymałem z rozkazu cara nagrodę pieniężną w wysokości pensji rocznej. Mając poddostatkiem wolnego czasu, zająłem się odszukiwaniem znajomych. Przypadkowo spotkałem Franciszka Brzozowskiego, który był wychowankiem wuja Rafała i mym krewniakiem. Ucieszyliśmy się obaj ogromnie. Dowiedziałem się od niego, że wuj Rafał zmarł w r. 1847 i spoczywa na Powązkach. Cmentarz ten był utrzymany we wzorowym porządku, przypominał wspaniały park z szerokiemi alejami, mnóstwem ławek, kwiatów i pięknych pomników. Okazały stróż oświadczył na me zapytanie, że doskonale wie, gdzie jest mogiła ks. Skolimowskiego, profesora Akademji; że doskonale pamięta pogrzeb, w którym brała udział prawie cała Warszawa, zwłaszcza biedniejsi ludzie, którzy uważali go za swego dobroczyńcę. Zwłoki jego spoczywają w katakumbach. Gdym został sam przed płytą grobową z drogiem nazwiskiem, zapłakałem jak dziecko i modliłem się długo za duszę niezapomnianego opiekuna, który był mądrym, zacnym, kochającym bliźnich. Długo wędrowałem jeszcze wśród grobowców, przypominając znajomych i lata dziecinne. Udało mi się odszukać w Warszawie Stempkowskiego,

który kiedyś straszył mię starą żebraczką na moście, gdyśmy po raz pierwszy jechali z domu do Warszawy. Był to zamożny ziemianin, wesoły i żartobliwy. I teraz pokpiwał ze mnie, mówiąc, że nie przypuszczał, by taki beksa mógł kiedyś zostać zuchwałym majorem. Zapraszał mnie do siebie na wieś, lecz odwiedzić go nie mogłem. Częstował hojnie wspaniałym węgrzynem, od którego mocno kurzyło się nam w czubach. Gawędom i wspomnieniom nie było końca.

(D. c. n.

Wojsko polskie i rzymskie.

Jesteśmy w tej sytuacji, że prawie $^1/_3$ naszej armji składa się z niepolaków, czyli co trzeci żołnierz jest Rusinem, Żydem lub Niemcem. Według ogólnej opinji osiągnęliśmy wielkich wyników w szkoleniu armji. Rusini są doskonałymi żołnierzami. Misja nasza dziejowa, zwłaszcza na Wschodzie u wrót barbarji, wkłada na nas olbrzymie obowiązki i przypomina rolę Rzymu starożytnego, który w IV i V w. broni cywilizacji i pokoju swej 90 miljonowej ludności, organizując wojsko z ludów najrozmaitszych. Pisarz Klaudjan tak opisuje armję rzymskąpod wodzą Stylikona, generała rzymskiego, który był Wandalem (zabity w r. 408): „Tu się widziało mieszkańca Hiszpanji i Kolchidy na Kaukazie, Araba w mitrze i Ormianina z pięknem uczesaniem. Tam stały namioty Medyjczyków i Hindusów o bronzowych twarzach; mieli oni sztandary, ozdobione drogiemi kamieniami. Wyróżniali się olbrzymi Germanowie z nad Renu i wojownicy wspaniali z nad brzegów Oceanu. Stylikon trzymał w zupełnem posłuszeństwie ludzi tak różnorodnych, zmuszał ich do takiego posłuszeństwa prawom, że podczas swego przemarszu nie niszczyli winnic i nie deptali pól. Nie znano wypadków rozbestwienia i okrucieństwa wśród żołnierzy. Tak naśladowano przykład wodzów". ———

Niewolnicy w dawnym Algierze.

W swej słynnej książce o Algierze Anglik Keaston twierdzi, że liczba niewolników chrześcijan sięgała 30.000 przed podbojem tego kraju przez Francuzów w r. 1830. Pochodzili ci nieszczęśliwi nawet z Polski i Rusi, zwłaszcza w w. XVII. Jeśli który z nich, pragnąc uniknięcia nieznośnych męczarni, przyjmował Islam, Dey (władca Algieru) kazał ukrzyżować go na jednej z ulic miasta, zjawiał się osobiście przed krzyżem i winszował umierającemu, że dostąpił szczęścia poznania prawdziwej wiary i rozkoszy Raju.

*Algier od w. XVI staje się straszliwem gniazdem os — korsarzy nieustraszonych, którzy trzymali w ustawicznem przerażeniu miasta portowe Hiszpanji, Włoch i Francji. Wśród nich było mnóstwo wygnanych z Hiszpanji Maurów, którzy byli obrabowani z mienia i trapieni przez inkwizycję. Stali się oni zaciekłymi wrogami chrześcijan. Niewolnicy u*mieszczani byli na noc w dołach ziemnych 20 stóp głębokości, zanieczyszczonych potwornie. Dniem wznosili budowle starego Algieru, dotychczas istniejące. Pracowali pod skwarnemi promieniami i batem srogich dozorców. W razie okaleczenia ciała przy pracy, owrzodzenia i t. p. zachorzeń, leczono niewolnika jedynym sposobem — przypiekaniem rozpalonem żelazem. Francuzi po zdobyciu kraju w r. 1830 puścili na wolność tysiące niewolników i unieszkodliwili państwo piratów.